Tom III. Nr. 3.

21. Lipca 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

KAZIMIERZ WIELKI

król chłopków.

I. Jaki był dobry gospodarz.

Wziął ci nam pan Jezus do swojej niebieskiej chwały Łokietka, co był taki dobry król polski. Ale za to pocieszył nas On litościwy na Kazimierzu synie jego, boć jak się pokazało, to ten Kazimierz był król nad króle. I dopiero się naszej Polsce dobrze działo, że to mówię wam jeno żyć było w takim kraju jak w raju. — Przedewszystkiem powiedział sobie Kazimierz: Dość już tych wojen! Polska moja potrzebuje spokoju, bo się już setnie zmachała w tych ciągłych bójkach. Król ojciec swieć Panie nad jego duszą, dobrze się dał we znaki naszym nieprzyjaciołom. A toć myślę po takiej nauczce łatwiejsi będą do zgody. —

No i prawda że byli łatwiejsi, ale zawsze wypadało im dać coś na odczepnego i pozapychać jako tako żarłoczne ich gardziele. Owóż naprzód pogodził się z Krzyżakami: odstąpił im piękny bo piękny kawał ziemi, tak nazwane *Pomorze*, iże nad

samem morzem leży — ale za to resztę, co byli kiedyś Polsce zabrali, musieli teraz oddać. Zgodził się także król z Czechami, aby cicho siedzieli, a za to wyrzekł się dla nich prawa swego do *Szląska*, co był także kraj polski.

A toć prawdę mówiąc, jedna i druga ugoda dużo nas kosztowała, bo nam zabrała braci rodzonych i rzuciła pod obce rządy. Kazimierz sam nad tem bolał, ale cóż było robić, kiedy już takie nieszczęście nasze, że zawsze mieliśmy tych napastników na karku. A także myślał sobie: — Czej da pan Bóg doczekać, to się i tamto kiedyś odzyska, co się dziś straciło!...

A po tych ugodach kiedy się już widział bezpieczny od napaści, dopiero jął się całem sercem krzątać i gospodarować w kraju, aby się wszystkim dobrze działo. — Więc naprzód obejrzy się do koła po całej polskiej ziemi Kazimierz, i widzi lud Boga miłujący a kościołów mało. Bo chociaż przodkowie jego pobożni królowie nastawiali ich dosyć, ale nieprzyjaciele nasi świętokradzką ręką popalili nam dużo tych kościołów i mało ich zostało z dawnej fundacyi. Toż widząc, posprowadzał dobrych majstrów i zaraz im kazał budować nowe kościoły. Bogu na chwałę a ludziom na pociechę.

I obejrzy się raz drugi do koła po całej polskiej ziemi Kazimierz, i widzi lud nasz wiejski pracujący na roli, że czegoś smutny był i milczący. Zapytał: — Dzieci moje, co wam takiego?

Pokłonili się prostaczkowie do kolan królowi i przedłożyli mu skargi swoje. Wysłuchał ich król i pocieszył:

— Już ja was biorę pod swoją opiekę. Pracujcie wesoło i śpiewajcie sobie, a jak będziecie czego potrzebować, to jeno śmiało do mnie do Krakowa na zamek się udajcie, a sprawiedliwość wam uczynię jak każdemu innemu, bo ja was wszystkich ojciec.

Zaraz też wydał prawo na cały kraj, równe dla wszystkich: tak dla panów, jak dla mieszczan i chłopków. Prawo to kazał spisać w dwóch wielkich księgach i już się go wszyscy sędziowie musieli trzymać i według niego każdemu czynić sprawiedliwość. —

I obejrzy się raz trzeci do koła po całej polskiej ziemi Kazimierz, i widzi jaki to bogaty kraj ta nasza Polska, i że wiele rzeczy ma do zbycia, jako to: chleba, soli i pięknego drzewa po lasach. A toć właśnie najpotrzebniejsze rzeczy do życia, więc o kupca nie byłoby trudno. Aleć cała bieda, że nie było dużo miast w Polsce, kędy by się kupcy zjeżdżali na targi i na jarmarki. Użyrając się ciągle z nieprzyjacielem, nie można było myśleć o żadnym handlu, to też i o miasta nikt nie dbał. Dopiero nasz mądry Kazimierz, który miał baczne oko na wszystko, co by się krajowi zdało na pożytek, pomyślał o handlu i o miastach. I zaraz pogodził majstrów i zaczął piękne miasta stawiać po różnych dogodnych miejscach, a w tych miastach znowu kazał murować wielkie spichrze na polskie zboże, wielkie składy na sól, drzewo i na inne krajowe towary. Niebawem też z całego świata ciągnęli kupcy do nas na jarmarki i dużo nam pieniędzy zostawili za nasze towary.

I otóż pomyślcie sobie, moi ludzie, jakie to były złote czasy za tego króla naszego Kazimierza!... Tu stawiają pyszne kościoły Panu Bogu na chwałę, a ludziom na pociechę — tu chłopki pracujący na roli śpiewają wesoło, tacy sobie szczęśliwi — tu znowu murują a murują miasta majstrowie i kupcy się Bóg wie nie zkąd zjeżdżają na jarmarki i złotem sypią za nasz chleb, za naszą sól i za inne towary — a już sam król jeździ jeno po kraju i jako dbały gospodarz dogląda, żeby się coś złego nie stało.

SPIEWKA NABOŻNA PRZY PRACY.

Boże! z twoich rąk żyjemy,
Choć naszemi pracujemy,
Z Ciebie plenność miewa rola,
My zbieramy z Twego pola.

Wszystko Cię Boże nasz chwali,
Aleśmy i to poznali,
Że najmilszą Ci się zdała,
Pracującej ręki chwała.

Co rządzisz ziemią i Niebem,
Opatrz dzieci swoje chlebem:
My Ci dajem trud i poty,
Ty nam daj urodzaj złoty.

Djabeł młynarzem.

Opowiadanie Wojciecha z pod Opatowca.

Pochwaliwszy Pana Boga, usiadł Wojciech wśród gromadki, jak to zwykł każdej niedzieli po nieszporach czynić i tak zaczął swą pogadankę:

— Wiele podobno jeszcze minie lat, nim ludzie poczną na prawdę wierzyć tym, którzy nam prawdziwie dobrze życzą i zawdy tak jasną prawdę głoszą, jak ono słonko dziś jasno przyświeca na niebie.

Prawi na ten przykład kapłan w kościele, że kto wierzy w czary, zabobony, kto się udaje do wróżek i wróżbitów, ten śmiertelnie grzeszy, bo gwałci i przestępuje pierwsze przykazanie boskie, które tylko w jednego Boga wierzyć i Bogu ufać nakazuje. Słuchamy tego w kościele, wzdychamy na słowa kapłana, ale niech się tylko jaki guślarz, lub wróżka pokaże we wsi — nuże wszyscy lecą do niego i słuchają kłamstw i głupstw, które im plecie, chętniej i pilniej, jak słów samej Ewangielii i na dobitek płacą za to czasem ostatnim groszem, że ich guślarz oszukał.

Dla czego to wszyscy czarowniki i wróżki dwory z dala omijają? bo wiedzą, żeby ich tam do cepów, do wideł, do sierpa lub motyki zaprosili, a nie do stołu, aby na nim karty wykładali.

Alboż to i panowie nie mówią nam nieraz, abyśmy się od lada włóczęgi nie dawali oszukiwać? Lecz cóż, kiedy na nasz większy wstyd i biedę, pierwszy lepszy obieżyświat ma więcej wiary, jak niejeden z panów, co przecie lepiej wiedzą co i jak jest na świecie, bo na to rozliczne księgi czytują.

Na cóż wyszedł na przykład i Jacenty z tym guślarzem, co mu to niby djabła w wietrzniaku zawierciał za drogie pieniądze? Może jeszcze nie wszyscy o tem wiecie, dla tego nie-

zawadzi dla nauki opowiedzieć, jak to trzeba strzedz się takich ludzi, którym praca obrzydła i którzyby naszym ciężko zapracowanym groszem chcieli się żywić.

Znacie wszyscy Jacentego młynarza. Pracą i oszczędnością uciułał on kęs grosza, a że się bał żeby mu myszy papierów nie pogryzły, jak się to już niejednemu stało, umyślił sobie wyfundować mały wietrzniak. Było za co, to też i młyn niebawem stanął, a młyn nie lada! bo to i kamienie Jacenty z dala sprowadził i pytle pono aż z samego Krakowa zakupił. Wszyscy się cisnęli do wietrzniaka Jacentego, bo i od mlewa nie przeciągał i mąkę nie na okpisz odsypywał. — Ale cóż, wiecie że wietrzniak wtedy tylko miele, kiedy wiatr huczy; bez wiatru może młyn taki i cały miesiąc próżnować — co się też i Jacentemu nieraz wydarzyło.

Na większe ku temu Jacentego nieszczęście, przylazł-ci jakiś obieżyświat do wsi, a że u młynarza najprędzej podadzą kawał chleba, albo jaką kluskę dadzą połknąć, zaszedł-ci i on włóczęga do Jacentego.

Jacenty nie myśląc nic złego, przyjął go jak przystało gościnnie, po staropolsku. Skoro sobie obieżyświat trochę wnętrza poprawił, nuże w pogwarkę z młynarzem o różnych rzeczach; aż na koniec począł się Jacenty skarżyć, że oto dawno nie ma wiatru, i młyn, co nie mały koszt w niego włożył, tak mu próżnuje.

— Jeżeli wam mój gospodarzu tylko o to chodzi — rzekł czarownik — to nic, wiem ja na to sposób nielada i tym sposobem jużem niejednego z biedy wyratował. Bo i człek przecie niedarmo tłucze kościska po świecie, jeno chce według możności ludziom służyć. Ja mój gospodarzu za pół godziny potrafię wam tak uczynić, że tyle będziecie mleć, ile sami zechcecie.

— Ej! jak widzę — rzekł Jacenty — to was chyba anioł do mnie przyprowadził. Gdybyście tego dokazali, żeby mi dął wiatr, kiedy zechcę, tobym wam nie wiem co za to dał.

— No jużcić, ja z tego żyję i ta sztuka nie mało mnie kosztowała bo takie rzeczy same do głowy nie wleżą, jeno trzeba drogo okupić.

— Ale cóżbyście na ten przykład za to żądali? zapytał ciekawie Jacenty.

— Nie mniej ani więcej — odparł okpisz — jak 20 zł. nowych.

— Ej toby kapkę za dużo było! odrzekł Jacenty — ale co, oto połowę z tego dam.

— No jak dla was, niech będzie, ale to jeno dla tego, żeście już tak dużo na tym młynie stracili.

Jacenty poszedł do komory, wysypał 10 papierków po reńskiemu i wyliczył je na stole. Okpisz spojrzał na nie tak chciwie, jak ów jastrząb na gołębia co go ma przycapić, przerachował i zwolna wetknął do kality.

— Teraz chodźmy do młyna, rzekł do Jacentego.

Jakci wleźli do młyna; tak się tam oba zamknęli.

— Podajci mi świdra! rozkazał okpisz. Wziął świder, machnął nim na cztery strony, coś mruczał i wywiercił dziurę nielada w onem drzewie, do którego skrzydła są przyprawione. Potem wziął okpisz kęs kredy i rzekł:

— Widzicie, ta kreda poświęcana od samego Ojca świętego i ma taką moc, że jak nią namaluję kółko około tej dziury, którą wywierciłem i wymówię takie słowa, które wiem z książki wydrukowanej jeszcze przed stworzeniem świata w Jerozolimie, to djabeł musi do onej dziury wleźć i już z tamtąd nie wylezie, bo go zaraz kołkiem zaparuję i znowu na kołku oną kredą krzyż święty położę.

— Teraz już północek nadchodzi -- mówił dalej okpisz. Wy teraz idźcie na dół do młyna, a ja tu swoje zrobię.

Jacenty odszedł, a okpisz ułożył się i usnął na dobre. Po chwili się zerwał, krzyknął: Amen, i począł wbijać obuchem kołek do onej wywierconej dziury. — Jacenty słysząc to, jednym susem stanął przy guślarzu.

— No już siedzi, puśćcie wiatrak!

Jacenty puścił młyn, a skrzydła tęgo zaczęły latać, boć zaczął tęgi wiater akurat dąć.

— Owóż możecie puszczać, i hamować, i mleć, jak się wam żywnie spodoba. Teraz bądźcie zdrowi! idę dalej, bom na jutro rano zamówiony o *pięć* mil ztąd w takim samym interesie.

I tak guślarz czmychnął na cztery wiatry, a Jacenty kontent, jakby go kto na sto koni wsadził i nie mógł się do syta napatrzyć, jak one skrzydła u młyna goniły. Ale cóż, kiedy ta jego pociecha miała się niezadługo w strapienie zamienić. Bo oto niebawem po wschodzie słońca wiatr ucichł, a młyn stanął Jacenty drała do onej dziury, w której djabeł niby to siedział; przykłada ucha, nadsłuchuje, lecz nic: cicho i koło onej dziury i koło młyna, a wiatrak jak stoi tak stoi.

Po kilku dniach powstał-ci wprawdzie znowu wiatr i zmełło się ziarno co tak długo w koszu spoczywało. Aliści na większą biedę Jacentego, ludziska po wsi rozniesli o tem co się w młynie działo: jedni pokpiwali i śmiali się z Jacentego, inni znowu bojąc się djabła, młyn z dala omijali, aż Jacenty widząc oczywistą stratę, młyn za psie pieniądze puścił w arędę.

Tak to widzicie, moi kochani, wychodzą wszyscy na tem, którzy wierzą lada włóce, co do wsi przylezie!

Rzekł Bóg do żydów za czasów Mojżesza: „*Nie skłaniajcie się do czarowników, ani się wieszczków o nic nie pytajcie, abyście się przez nich nie splugawili.*"

A Pismo święte nowego testamentu mówi: „*Czarownikom i bałwochwalcom, i wszystkim kłamcom, część ich będzie w jeziorze gorejącem ogniem i siarką.*"

POGADANKA STAREGO ROLNIKA.

(*z Cz. N*)

Znowuż jednego razu przy wolnym czasie zeszli się ludzie do Janka Goździaka z Marusic, co to jak wiecie, taki sławny był na całą okolicę z gospodarstwa i do porady jedyny. Otóż dzisiaj ciekawi byli chłopiska usłyszeć od niego, jak to należy w gospodarstwie szykować się z robotami do słonka, do deszczu, śniegu i tam innych rzeczy — i o to go pięknie prosili.

Jakoś to było przed samemi żniwami — pogoda sprzyjała, toż Janek wywiódł ich z chałupy na pole i począł ich oprowadzać po roli około zboża, po łąkach, po sadzie, oborze i wszędzie po różnych dziurach swego gospodarstwa.

— Ot, moi sąsiedzi, prawi, widzicie moją pszeniczkę i żyto, patrzcie jakie gęste, jakie czyste, ani źdźbła chwastu nie dopatrzy prawie. — A widzicie jaka to słoma niby trzcina, kłoski jak kiście kukurydzowe, a ziarna, to jak żołądź. — A to jęczmień, to owies, to groch, wszystko jak las, aż się uśmiecha do człowieka, bo przy pomocy Bożej jak się to wszystko zbierze z pola, to nie jeden korczyk wsypie się do beczułki.

Chłopiska z wielką ciekawością przyglądali się temu, bo po prawdzie powiedziawszy, Bóg w polu Jankowi wszystko jakby na dziwo zarodził, tak, że między stoma połankami prawie ślepy namacaniem poznałby, czyje zboże Jankowe, a czyje jego sąsiadów.

— To moja łąka — mówił dalej Janek — siana pachnącego jak ruta dwa razy tyle zebrałem, co z was każdy. A teraz patrzcie, jaki śliczny puścił się potraw, jaki gęsty, że zdaleka sam wchodzi w oczy i chwali się. — Tu nad łąką mam kapustę, konopie, len, w górze ziemniaki, a jakie? — ho-ho-patrzcie! — Głowy kapuściane jak cebry, — len i konopie, jak młode choice i sośniaki, a ziemniaki, jak łby kocie. To, moi ludzie, jest wyka, a to koniczyna, czego wy nie macie. One to, moi sąsiedzi, prześliczną co rok dają mi paszę, dlatego w oborze mojej bydło pięknie się trzyma, a krowy tyle dają mleka, że kobiecie i starszej dziewusze to się i doić przykrzy. — Że się karmy nie żałuje, bydlę robi tyle gnoju, że prawie się z nim nie ma gdzie podziewać — a gnój to wiecie, co znaczy w gospodarstwie.

— To, widzicie moi ludzie! rola pod oziminę, patrzcie jaka czysta, jaka pulchna, jak calizny nigdzie ani na piędź nie dopatrzysz. Patrzcie, jak głęboko sprawna, jaka żyzna, to w takiej roli jak się wszystko porządnie doprawi, to jakże nie ma się zarodzić? — A takiej roli sam Pan Bóg nie daje, jeno się do niej starunkiem i pracą dochodzi. Kiedy wziąłem gospodarstwo na siebie, rola moja była taka sama jak wasza. Kamieni, perzu, chwaścisków różnych co nie miara, orka płytka, a

zbożowina tak się po połankach chwiała, jak kiedy mech po brodzie u młokosa, albo włosy na głowie u łysego. Dziś bez mała w jednakiej mierze wszystko u was zostało, a u mnie jakby moje pole kto przemienił: ni kamienia, ni perzu, ni chwastu, a orze się dwa razy głębiej, jak dawniej. — Tu widzicie wedle chałupy mam sad, a w nim przeróżne owoce, jabłka, gruszki, śliwki, że się jest czem cały rok obrządzać. Tu znowu między drzewizną maliny, agrest, porzeczki, — tam dalej warzywo, marchew, brukiew, kalarepa, pietruszka, pory, cebula, mak, i też inne różności, a wszystko piękne i dorodne, że aż się dusza śmieje w człowieku. — W końcu sadu widzicie, stoją ule ze pszczołami, co same pracują na człowieka, i prawie proszą się, żeby im miód odebrano. Wczorajszego bowiem dnia, kiedy przyszedłem zobaczyć, co się z mojemi pracownicami dzieje, widzę że cały rój siedzi na wierzchu jednego ula i brzęczy smutnie. Patrzę, co takiego? czyby w środku była jaka przeszkoda? — zaglądam tedy, aż tu cały ul zarobiony tak, że się w nim biedactwo już nie mogło pomieścić i wylazło na ul ze smutnem brzęczeniem, jakby prosiło człowieka, żeby mu miejsce na robotę zrobił. Tak ja co robiący, miód do szafliczka, wyporządziłem wszystko jak wypada, a moje pszczoły jak nie zabrzęczą wesoło, jak nie ruszą do ula, jak nie pójdą w pole, to jeno szumiało, co tak ochotnie leciały na robotę. — Pszczoły, moi ludzie, jeno starunku ludzkiego potrzebują, bo pożywienie to im Pan Bóg dał po kwiatkach, po łąkach, po zbożach, po drzewach i lasach, i za ten starunek dają tyle wosku i miodu, że mam z nich dać co i na chwałę Bożą do kościoła, i na domową potrzebę i na przedarz. Jak obejdziemy obory i chlewy, to was moi sąsiedzi uczęstuję miodem własnej roboty, bo moja kobieta to jedna do takiego domowego obrządku, wie we wszystkiem, jak sobie poradzić, nic u niej na marność nie idzie; — a jeżeli Bóg da zdrowia i życia, to wam opowiem o pielęgnacyi pszczół, bo i tu trzeba wiedzieć, jak co zrobić. — Wyszedłszy z sadu Janek, poprowadził wszystkich ku oborze, a pokazując na gnoisko rzekł:

— To widzicie jest gnojownia, a jak w izbie póty ciepła nie będzie, dopóki się w piecu nie napali, bo z niego rozchodzi

się ciepło po całej izbie, tak i w gospodarstwie, dopóty dziać się dobrze nie będzie, dopóki tu na gnojowisku będzie źle i bez żadnego starunku. Wy na to mało dajecie baczenia, bo jeszcze tego dobrze nie rozumiecie; ale ja, co wiem, że:

Bez gnoju rola kiep,
A przy gnoju daje chleb!

to naprzód pilnuję bydła, żeby było dobrze karmione, żeby miało dobrą podściółkę, a potem gnojowiska, żeby się na niem gnój nie palił, albo nie suszył, bo tak przy jednem, jak przy drugiem przez pół go ubywa, więc i zboża przez poł się jeno zbiera. Staram się więc, moi sąsiedzi, żeby gnój na gnojowisku był w swojej mierze, żeby zanadto nie przegnił, albo żeby nie był bardzo słomiasty, jeno co prawie. Dlatego zasłoniłem go oborą od południa, żeby słonko bardzo nie paliło. Żeby znów nie miał z deszczu nadto wilgoci i żeby woda nie nachodziła w niego z dachów, odsunąłem go od obory. W środku gnojowiska zrobiłem niby studnią, aby do niej napływała gnojówka, którą potem od czasu do czasu rozlewam po całem gnojowisku kiedy słonko bardzo pali, a co zostanie, to ja używam do różnych rzeczy w gospodarstwie, o czem wam później mówić będę. Gnojówka to równa gnojowi, a nawet lepsza od niego; więc ją bardzo trzeba szanować. — Widzicie tedy, że z gnojem to trzeba strasznie rozumnie poczynać, a u was — niech to nie będzie z niczyją obrazą — gnój przez pół się marnuje, i dlatego przez pół tyle, co ja z pola zbieracie. — Który u siebie z was zakłada gnojowisko, wygmyrze dół jak mu się uda, potem po wywózce grzebie, skrzybie, gdzie jeno czerni się ziemia, co przesiąkła gnojówką. Potem wyrzucacie gnój z obory, to byle jak: tu się zrobi góra, tam dół, tu leży bardzo ugnieciony, tam mniej. Jak więc przyjdą deszcze, to w jednem miejscu lepiej wodą przesiąknie, w drugiem mniej, i jużcić zaraz w jednem miejscu gnój bardzo gnije, w drugiem znowu wysycha. Jak też przyjdzie do wywózki, to zwierzchu gnojowiska idzie naprzód prawie sama słoma, i to w jednem miejscu spalona, zapleśniała, w drugiem sucha jakby dziś przyniesiona ze stodoły, a ze spodu

samo prawie błoto. Na polu więc gdzie wypadnie pognój z samego wierzchu gnojowiska, niewiele co przybędzie żyzności, bo co ze słomiastego barłogu można się spodziewać? Gdzie zaś wypadnie wozić ze spodu z owem błotem, to gnoju będzie bardzo szczupło, i jak miski barszczu nie osolisz ziarnkiem soli i zawsze barszcz będzie niesłony, tak i pola tą trochą gnoju nie użyznisz i zawsze będzie jałowe. Więc gnój z takiego gnojowiska nie da żadnego profitu, a rola jeżeli nie będzie się niszczyć, to pewnie nic jej na żyzności przybywać nie będzie.

— Owóż dla tego, moi sąsiedzi, że tak gnojowiska mało sobie ważycie, role wasze jak rodziły tak rodzą, nic się nie polepszają. — Dawniej kiedy lepsze były urodzaje, to wam przynajmniej wystarczało i nie znaliście, co to przednowek; ale dziś, kiedy wszędzie się nie rodzi i wy zbieracie jeno połowę tego, co dawniej, to jużcić wystarczyć wam nie może, boć u każdego z was w chałupie gąb nie ubyło, jeno może przybyło, i u każdego z was jeżeli nie więcej, to pewno nie mniej jedzą jak dawniej.

— Dobrze wszystko mówicie, mój Janie — odezwał się Bąbała, co słuchał z wielką pilnością — ale powiedzcie mi, dla czegoż to gnój, tak marna rzecz, potrzebny jest roli, i bez niego nic się dobrze nie chce udać?

— Jeszcze wam nie dopowiedziałem jednego a już chcecie wiedzieć o drugiem. Powoli! naprzód kiedyście przyszli do mnie po radę, to chciałbym was już doskonale nauczyć, jak macie zakładać i utrzymywać gnojowiska.

— Otóż zakładając gnojowisko, żeby wiatry na niem gnoju nie wysuszały, trzeba koniecznie między budynkami, coby go zasłaniały od wichury, wykopać dół równy, dłuższy jak szerszy, na łokieć albo i więcej głęboki. — Jeżeli spodem jest glina, to dobrze, bo nie puści przez siebie gnojówki; jeżeli piasek, to trzeba dno koniecznie wyłożyć kamieniami, czyli wybrukować a szpary pozalepiać gliną, boby piasek het ściągał do siebie wilgoć z gnoju. Trzeba także pamiętać wokoło takiego gnojowiska albo wysypać ziemią, żeby wyżej było, albo okopać dokoła rowkiem. Bo jak przyjdą deszcze, albo z wiosny śniegi zaczną topnieć, to woda ze wszystkich stron tak leci, że jeno

szumi; jakby więc nie miała nijakiej przeszkody, toby wszystka wwaliła się do gnojowiska, bo tam byłoby najniżej, opłukałaby podściół z gnoju i potem poszłaby na marność. Jeżeli zaś woda ze strony napotka wyższe miejsce, to się zatrzyma, albo jeżeli rowek będzie, to spłynie do niego i pójdzie sobie dalej w świat, a gnojowisku szkody nie zrobi. — Więc pamiętajcie dać baczenie, żeby nigdy a nigdy woda z boku nie dochodziła do gnojowiska, bo jak nie będziecie na to baczyć, i woda raz, drugi podejdzie, to z gnoju takiego właśnie tyla będziecie mieli profitu co i z ziemniaka sadzeniaka w jesieni przy kopaniu, co to na oko jak ziemniak wygląda, a w środku pusto, i jużcić ni dla człeka, ni dla bydlęcia z niego pożytku. Dlatego samego gnojowisko zawsze wypada odsunąć troszkę zdala od budynku, żeby między budynkiem a gnojowiskiem można było wozem przejechać, a to dlatego, iżby z dachów w niego woda nie ciekła. A kto może, niech od południa obsadzi drzewami, żeby dawały cień, to słońce nie tak będzie palić.

— Ale choć człek wody z boku nie puści do gnojowiska, to równie tej, co z nieba pada z deszczem i śniegiem nie zatrzyma. — Jeżeli rok choćby nie suchy, ale tak średni, to jeszcze fracha; bo że tam czasami deszcz przepada, toć jeszcze gnojowi tak wielkiej szkody nie zrobi. Ale jeżeli mokry i więcej deszczu jak pogody, to woda od góry pomału het wsiąka ku dołowi gnojowiska, obmywa każde ździebełko słomy podściołu z gnoju bydlęcego, jak na to mówiąc nasze kobiety kiedy piorą szmaty u rzeki. Przez to u spodu gnojowiska zostaje błoto, a u wierzchu czysty jeno barłog. Zamiast tedy coby miał nawóz gnić, to się rozdziela na dwoje, i przy górze będzie sam czysty podściół, a u spodu sam gnój bydlęcy. — A czy jest taki gospodarz, coby wywoził w pole samą słomę, albo sam gnój, co bydlęta z siebie wydają? Jużcić nie ma, bo każdy to wie, że taka wywózka nie wyszłaby na pożytek, jeno stara się, żeby podściół z gnojem razem się przetrawiły, i dlatego ściele pod bydło, żeby na czem położyć się miało, i żeby słoma wszystek mokrz i gnój bydlęcy wciągnęła w siebie.

— Otóż, żeby deszcze takiego rozdzielenia w gnoju na gnojowisku nie robiły, potrzeba duchem starać się, ażeby taką zbyteczną wodę z gnojowiska, co się przez to zamieni w gnojówkę, odciągnąć. Dlatego w gnojowiskach dno jego powinno iść trocha spadzisto ku jednemu bokowi, i przy nim wykopuje się studnia, daje się cembrzynę, i okrywa podziurawionemi dylami, iżby niemi zbyteczna woda z deszczów, co się przemieniła w gnojówkę, ściekała. Jakże się gnojówki takiej dosyć nazbiera a padnie na czas suchy, wtedy wyciąga się ją kubłem i rozlewa po całem gnojowisku. Jeżeli zaś gnojówki będzie tyle, że jej wylewać nie poradzicie, jeno zawsze znajdzie się jej coś w studni, to się nie frasujcie o to. W gospodarstwie, moi ludzie, i u mądrego gospodarza to nic na marność iść nie powinno, i ze wszystkiem tak się będzie umiał poszykować, że mu musi każda rzecz wyjść na pożytek. — Ale o tem kiedyindziej wam się rozgadam, bo to długa gadka.

— Teraz zaś że macie wolny czas, bo to przede żniwy, to każdy z was niech sobie przyrządzi miejsce na gnojowiska, jak to wam mówiłem, a nie ociągajcie się i nie żałujcie pracy. Z początku to idzie wszystko trudno człowiekowi, a później jak się wprawi, to robi śpiewający.

— A kiedy wiem, że każdy z was powie, jako w mojej gadce mam prawdę za sobą, to zróbcie wszyscy jak radzę, boć to wstydnoby było i dla mnie i dla was, że w rzeczy takiej co jeno wyciąga trochę pracy i zakrzątania się, słowa moje z wiatrem by poleciały, Bóg bowiem, moi sąsiedzi, nie dał ludziom ani chleba już upieczonego, ani wiatraków lub młynów, jeno dał żyto, wiatr, ogień i wodę, i dał rozum, żeby człek rozważał i przemyśliwał. Jak więc poszedł człowiek po rozum do głowy, zaraz zmiarkował, że z żyta może być chleb, wiatr albo woda mogą obracać kamienie, co mielą zboże na mąkę, a ogień może chleb upiec. Żyto więc człowiek zżał, wymłócił, wiatrem albo wodą wymlił na mąkę, a przy ogniu upiekł i wszystkiego tego doszedł swoim rozumem. — Głupi człowiek coby tego nie wiedział, jak się chleb robi, toby gryzł samo żyto a zobaczywszy człeka, co je chleb, powiedziałby, iż mu tak Pan Bóg to dał, że mu tak wszystko ręką idzie. A tu choć

Pan Bóg to dał, to równie człek rozumem swoim dokazał, bo i pług choć uprawia ziemię, a przecie trzeba do niego konie albo woły zaprządz, żeby pociągnęły, i człeka coby tem wszystkiem kierował.

— Tak samo też i w gospodarstwie; Bóg dał rolę, gnój, słonko i deszcz a człowiekowi rozum, aby umiał z tego wszystkiego korzystać. I dla tego to powiedziałem, że w gospodarstwie trzeba się umieć z robotami do tego szykować, bo bez tego zawsze będzie wszystko Bóg wie po jakiemu, ot tak, jak się uda. — Kto więc stara się w gospodarstwie, aby z rozumu, tego wielkiego daru Bożego, jak najwięcej korzystać i robi tak, jak mu kto mądrze poradzi, to takiemu wszystko pójdzie ręką, bo mu i Bóg dopomoże za to, że rozumu swego używa na dobre, i że nie marnuje tego, co mu Bóg dał w miłosierdziu swojem.

— Pracujcie więc i starajcie się robić tak, jak wam radzę, bo lenistwo i próżniactwo to największy grzech przed Bogiem, gdyż Bóg nic nie dając gotowego człowiekowi, chciał widać tego, żeby na wyżywienie swoje w pocie czoła pracował. — Kto więc pracuje, wypełnia nakaz Boski; kto próżnuje i jest leniwy, to jakby się buntował przeciw Bogu, jakby mówił w zuchwałości swojej: „Choć Panie Boże kazałeś mi pracować, ale ja nie będę, jeno wolę sobie mało robić, a i tak przy pomocy drugich ludzi nie umrę.“ Lecz Bóg, moi ludzie! choć cierpliwy, ale sprawiedliwy; zuchwalstwa takiego nigdy nie przebaczy i gdy pracowitym opiekuje się jako ojciec, o próżniaku zabacza — a bez opieki Boskiej, czy może być dobrze człowiekowi?

— Za długo, moi ludzie, rozgadałem się dzisiaj; ale u starego co w sercu, to i w mowie. Teraz uczęstuję was miodem, co go syciła moja kobieta.

I przy tych słowach Janek obróciwszy się ku komorze, zawołał:

— Saluś! — a wynieśno nam choć ze dzbanek swego słodkiego napitku, bo radbym poczciwych moich sąsiadów uczęstować.

Kiedy miód zaczerwienił się po szklankach, Janek podniósł szklankę w górę, i rzekł:

— Daj wam Boże zdrowie, moi sąsiedzi! gadki i porady nigdy dla was żałować nie będę, a wtedy dopiero umrę spokojnie, gdy mnie swoim znowu miodem z własnych uli uczęstujecie. — Daj wam Boże zdrowie.

Całej gadki Janka chłopiska słuchali z wielką ciekawością; najbardziej jednak Bąbała, bo to tak się zamyślił, że choć muchy obsiadły mu całą czuprynę, on ni razu po niej nie klapnął się garścią jak to miał we zwyczaju.

— Kumie — odezwał się Wojciech, trącając Bąbałę, — a dyć ognajcie muchy z głowy, bo was na piękne zjedzą.

— Bóg wam zapłać za przestrogę; ale mnie ta nie muchy w głowie, jeno rozważam sobie Janka gadkę o gnojowisku, bo wiecie co? to nie głupia rzecz! ja zaraz u siebie tak zrobię.

— Ba! co ma być głupia.

I ludziska pogwarzywszy to o tem, to o owem, wyruszyli wkrótce do domu, i każdy miał w głowie jego gnojowisko i mądre słowa Janka.

J. K. Gregorowicz.

RÓŻNOŚCI.

Jak bieda tak bieda. — Źle panowie gospodarze, źle i ani daj Boże lepszych doczekać się czasów! A toć to wiadomo, jak się działo przeszłego lata: słońce parzyło i po całych miesiącach kropli deszczu nie było; toż w wielu miejscach popękała ziemia od wielkiego gorąca, i poniszczały łąki, i po pastwiskach kurzyło się jakby na gościeńcu, i woda powysychała w studniach i potokach, i omdlewali ludzie w czasie żniw od srogiego upału i pragnienia, a tu jeszcze padło na wojnę i dużo naszych poginęło. Take to było przeszłe lato — A jakże dzisiaj, moi gospodarze! czy lepiej? — oj, dalipan że nie! Tu znowu leje i leje jak z cebra, i ani rusz pogody się doczekać. Wezbrały rzeki i potoki i dużo ludzi w nich poginęło; i siano gnije po łąkach, i śniedź się jak mówią rzuciła na pszenicę od tych ciągłych deszczów, i ponoć się już ziemniaki w wielu miejscach psują. A gdzie się pokazało na piękny urodzaj, tam grady spadły ciężkie jak kamienie i powytłukały piękne zboże do czysta. I biją pioruny po piorunach, i zabijają nam ludzi i chudobę, i palą nasze domostwa — i ot, jako się nam dzieje w tych czasach...

Niedawno temu nawiedziła burza okolicę *Słowity, Jachtarowa* i *Uniowa* w Złoczowskim obwodzie i poniszczyła wszystkie zasiewy. W Słowicie jeszcze do tego piorun uderzył w karczmę, zabił jedną kobietę i dwie sztuk bydła, i jakiegoś chłopca uszkodził. A znowu w *Bałuczynie* w *Zamościu* i *Glinianach* wytłukł grad dużo oziminy, i wszystkie okna w chałupach powybijał. Przytem wicher był taki mocny, że w samej Bałuczynie coś ze *dwanaście* chałup obalił i inne budynki gospodarskie powywracał. Najstarsi ludzie nie zapamiętali takiej burzy. W kilka dni potem spadły grady na pola *Nieznanowskie, Czyżowskie, Nasterowieckie* i wielu innych wsi, i strach co za szkody w zbożu poczyniły. Gorzej jeszcze jak słychać działo się w Samborskiem po niektórych wsiach, gdzie padał taki wielki grad, żeć się po nim nawet trawa na łąkach nie ostała.

Oj, bieda jest i będzie jeszcze większa, jeśli się Pan Bóg nasz ojciec niebieski nie zlituje nad nami i jakoś inaczej nie zarządzi.

JAKO CHŁOP JEDEN RADZIŁ SWOJEJ BABIE NA BÓL ZĘBÓW.

Opowiadał po swojemu Sebastjan Liszka włościanin z Jeżowy.

Pewna kobieta ból zębów cierpiała,
Na który nie jadła, ni piła, ni spała;
A mąż ją cieszy: — cicho babo, cicho!
Wiem ja o lekarstwie, weźmie go tu licho. —
I uwiązał zęba na mocnym szpagacie,
U skobla drzwi w swojej własnej chacie,
I bierze pochodnię i tak żonie radzi:
— Otwórz babo usta, niech się ząb nakadzi.
Więc żona strapiona gotowa do zgody,
I mąż jej przyłożył pochodnię do brody —
Oj, baba się szarpnie aż ściany zadrżały,
A ząb uwiązany bęc na ziemię cały.
Mąż się ją pyta: — i cóż lepiej ci w gębie?
Żona wtenczas uczuła, iże już po zębie.

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Nie żądaj złego nikomu, byś tego niedoznał w domu.
2. Lepsza kopa za żywota, niż po śmierci sterta.
3. Wolno przez groble i mosty, chceszli mieć grzbiet prosty.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**